

Kronika tygodniowa.

Jeśli może w niniejszej kronice minę się z prawdą, jeśli nie sprawdzi się coś z mych przepowiedni, o ile *nota bene* znajdę się w tem miłym położeniu, bym miał coś przepowiadać, jeśli może zmienię nieco zwykłą swą oryentację, niech nikt się temu nie dziwi. Tłumaczy mnie dzień pierwszego kwietnia, czyli *Prima Aprilis*, przeznaczony na to, by jeden bliźni brał drugiego na kawał. Dawniej działo się to raz w rok, właśnie w dniu pierwszego kwietnia, obecnie, podobnie jak Wielki Post, rozciągnięto ten zwyczaj na rok cały. Kronikarz jest jednak konserwatystą, trzyma się starych zasad i, jeżeli skłamię, lub prawdy nie powie, to tylko raz w roku, w tym właśnie czasie, ale z góry przyznaje się do winy, żałuje za grzechy i obiecuje solennie poprawę, zwłaszcza, że wiele z tego, co ma powiedzieć, względnie napisać, jest prawdą, nie kłamstwem.

Prawdą więc jest przedewszystkiem, iż wszyscy żyjemy obecnie pod wrażeniem litery „w“, od której zaczyna się wiosna, wojna i Wielkanoc, a pamiętać należy, iż ta kronika jest właściwie pierwszą wiosenną, a przedostatnią wielkopostną.

Wiosna sprawiła nam już niespodziankę, której się przecież spodziewaliśmy, od środy bowiem, choć w kalendarzu wiosna, z niebios pada śnieg, a mróz zda się wołać: „Nie krzycz hop, dopóki nie przeskoczysz!... To mnie przynajmniej cieszy, że okoliczność tę przewidziałem pierwsi i wzywałem Czytelników, by zbliżeni nie dowierzali i nie rozstawiali się z futrami, szalami, żakarkami, ciepłymi rękawicami i innemi tego rodzaju akcesoryami zimowego stroju. Pierwsze „w“ zakpiło sobie więc z nas, a nie inaczej uczyniło i drugie, to jest Wielkanoc, której zwiastunem, również przemennie przepowiedzianym, było pojawienie się nowej taryfy maksymalnej, normującej zwłaszcza ceny przetworów z świątecznego ciała, bez których trudno sobie wyobrazić stół wielkanocny. Ceny tych delikatosów, jak się spodziewać należało, podskoczyły znowu i to wcale znacznie. Jeżeli do tego dodamy brak maki i cukru, oraz zakaz wypiekania ciast, chyba z maki kasztanowej, orzechowej lub migdałowej (a i tych niema!), w takim razie święta Wielkiejnocy przedstawiają się nam już dziś w zupełnie czarnym kolorze i chyba nikt wówczas nie weźmie za złe kronikarzowi, jeżeli, miast się radować, na żalostny ton nastroi swą lutnię i zacznie naprawdę gorzkie żale... Tradycyjne obchodzenie znajomych w dni świąteczne, z powodu zupełnego prawie braku amunicji żołądkowej, musi w tym roku spaść z porządku dziennego, nie każdego nawet stać na to, by sobie zafundował jajko, bez którego przecież nie można wymieniać nawzajem życzeń „by nam się lepiej działo“...

I drugie więc „w“ zupełnie nie jest lepszym od pierwszego, dla trzeciego, to jest dla wojny, chowam miejsce na później, gdy się załatwi z drobiazgami, mającymi związek pewien z poruszonemi już wyżej kwestyami, to jest wiosną i Wielkanocą.

Na pierwszy więc plan wysuwa się przedewszystkiem sacharyna, która odtąd ma nam zastępować cukier i słodzić gorzką dolę, dopóki nie wynajdą uczeni innego środka w tym celu. A są już podobno na dobrej drodze. Ma to być jakaś słodkość, robiona z... naftaliny!

Z chwilą, gdy pojawiło się urzędowe ogłoszenie władz skarbowych, rehabilitujące wyklętą przez nie sacharynę, zacząłem, a sądzę, że także i inni śmiertelnicy, którzy z nią wejda w ścisły kontakt, studia, co to zacz jest, by, jak to mówią, nie kupować kota we worku, a tem mniej go zjadać. Dla wiadomości tych, którzy tego dotąd nie uczynili, podaję bliższy życiorys tego smakoliku.

„Sacharynę, czyli bezwodnik kwasu ortosulfoamino-benzoesowego, otrzymuje się z toluolu, przez zamienienie go na kwas toluolo-siarczany, z którego otrzymuje się toluolosulfamid, przechodzący przez utlenienie w sacharynę“.

Spyta kto może, co to za dyabeł ów toluol?... Mogę mu również służyć bliższą informacją, jeśli bowiem zabieram się do jakiegoś badania, staram się czytać to gruntownie i dziwię się bardzo, że właśnie z tego powodu, nie zostałem dotąd zaliczonym w poczet nieśmiertelnych z ulicy Sławkowskiej (Akademia Umiejętności), zwłaszcza, że z równą znajomością rzeczy mógłbym zabierać głos nie tylko w sprawie sacharyny, lecz, dajmy na to i prawideł pisowni polskiej.

Otóż ów toluol jest to związek chemiczny organiczny, z grupy aromatycznej, otrzymywany z balsamu toluńskiego, znajdującego się w smole węgla kamiennych.

I teraz dopiero otwierają się nam oczy, dlaczego odczuwamy taki brak węgla kamiennych, dotąd używanych do ogrzewania naszych mieszkań, a zarazem

i naszej cielesnej powłoki. Chcąc mieć dużo toluolu, a z niego potem sacharyny, trzeba oszczędzać na węglu do palenia, który ma odtąd nie tylko grzać, ale i słodzić życie wszystkim śmiertelnikom, czekającym na koniec wojny, a z nim i na powrót normalnych stosunków i zwyczajnego cukru, mającego, według opinii chemików, większą wartość odżywczą, choć nie tak słodkiego, jak jego obecna zastępczyni.

Skoro więc sacharyna, dotąd używana tylko jako lekarstwo albo finansowa kontrabanda, zyskała wszelkie prawa obywatelstwa, najmniej ona też miejsce cukru i w miłosnych wyznaniach i odtąd, mówiąc do wybranej swego serca, nie będzie się stosowała n. p. wyrażenia: „O, mój ty najśłodszy cukiereczku!“... ale „Moja, jeszcze słodsza sacharynko!“...

Tak to wojna i jej skutki wdiera się we wszelkie dziedziny naszego życia i wyciska na nich swe piętno, nie oszczędzając nawet, niedostępnego dotąd dla niej, królestwa Amora.

Drugą nowością wojenno-wiosenną, której, kto ma ochotę, mógłby już i na Wielkanoc skosztować, będzie chleb z maki zwyczajnej, pomieszczonej z mąką z grzybów. Według opinii projektodawcy, który, jak *Czas* donosi, postarł się już o patent na swój wynalazek, chleb taki ma być bardzo smaczny i mieć wartość odżywczą, równą tej samej ilości zwykłego, nawet przedwojennego chleba, przykrytego potężnym płatem szyku. Nie wspomina jednak projekt, które gatunki grzybów nadają się do tego celu. Przypuszczam, że zapewne tylko tak zwane jadłowie, z wykluczeniem trujących, n. p. muchomorów, które ongi z lubością zbierał w „Panu Tadeuszu“ pan Wojski. Wykreślić więc musimy ze słownika przezwoisk i wyrażenie: „Ty stary grzybie!“, skoro on ma nam zastąpić nie tylko zboże, ale nawet i drogą szynkę i ratować nas od głodowej śmierci.

Gdy tak wszyscy wysilają swe mózgownice, by wynaleźć coś, co ma zaspokoić nasz apetyt i pragnienie, pomyślałem sobie i ja, że nie powinienem zostać w tyle, zwłaszcza, że wpadłem na pomysł trudny wprawdzie do wykonania, mogący przecież przynieść społeczeństwu nadzwyczajny pożytek, gdyż nie tylko przyczynić się do ułatwienia aprowizacji, ale równocześnie i zakończenia wojny, która, wiadomo, dzięki łodziom podwodnym, weszła w stadium zaostrenia. Należałoby więc tylko wynaleźć sposób spuszczenia wody morskiej ze wszystkich oceanów, a będzie się mieć niezliczoną moc ryb, których cena będzie wówczas bardzo przystępną, co zaś ważniejsze, łodzie podwodne stracą swe znaczenie i trzeba je będzie przerobić chyba na... aeroplany. Bez potrzeby budowania tunelu lub mostu dojdzie się wówczas suchą nogą do Anglii, która wówczas będzie się musiała pożegnać ze swą naturalną ochroną, jaką dla niej tworzy oblewająca ją ze wszech stron woda.

Nad projektem tym warto się zastanowić i, nie wątpię, znajdą się technicy, którzy tem się zajmą, zwłaszcza, że ja na mój wynalazek nie staram się o patent i pozwalam każdemu, by pracował w tym kierunku. Sam jestem nawet ciekawy, czy dałoby się to skutecznie, jeśli się zań dało, w jaki sposób. Później, po wojnie, możnaby znowu nawodnić osuszone dno morskie, by ludzie mogli jeździć do kąpiel i mieli gdzie wydawać pieniądze, zarobione na dostawach wojennych. A takich jest dość, uległo bowiem w tym czasie zmianie i przysłowie, które dawniej brzmiało: „Słodko jest umierać za ojczyznę“. Dziś brzmi ono: „Daleko słodziej jest być dostawcą dla ojczyzny“. Dotarcza zaś różnych materiałów wojennych i nie wojennych można nie tylko ojczyźnie, ale i obcym, nawet wrogom, a taki dostawca nazywa się wówczas „neutralnym“.

Kto wie, czy mój pomysł spodoba się panu Wilsonowi, który gotów go uznać za pogwałcenie praw międzynarodowych, do czego jest bardzo skory i zerwać stosunki dyplomatyczne i z *Nowościami ilustrowanymi*, choć dotąd był ich stałym i punktualnie prenumeratę płaćącym odbiorcą. Na każdym kroku daje ciągle dowody, że to, co Anglę boli, boli i jego, a mój projekt jest właśnie wymierzony przeciw przewrotnemu Albionowi, właściwemu sprawcy i inicjatorowi obecnej wojny, z powodu której wszyscy tak cierpimy, nie wiedząc nawet, kiedy będzie koniec tych utrapien!... Już chyba czas najwyższy, by inni za łby się wzięli, a my, byśmy mogli zacząć grać rolę neutralnych, odnosząc z tego choćby tylko takie korzyści, jak n. p. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Dyplomaci, z którymi codziennie konferuję przy bombce, są zdania, że właśnie teraz najodpowiedniejszy jest czas do zawarcia pokoju, na razie bodaj z Rosją. Dzięki rewolucji jaka tam wybuchła, duch wojenny musi *eo ipso* osłabnąć, wszyscy bowiem zastanawiają się teraz nad tem, jaką wybrać formę rządów i komu je oddać. Wiadomości, jakie stamtąd otrzymujemy, są na ogół bardzo sprzeczne (najlepszy dowód, iż ambasador Buchanan na podstawie paragrafu dziewiętnastego

ustawy prasowej wzywa mnie przez adwokata Dudykiewicza, bym sprostował wiadomość, w ubiegłym tygodniu podaną, iż nie jest prawdą, jakoby go zabito, gdyż cieszy się jak najlepszym zdrowiem i „robi dalej w polityce“...), to jedno zdaje się być pewnem, iż, rodzina Romanowów do władzy już nie powróci, i że Rosya ma dwa rządy rewolucyjne, wzajemnie się zwalczające, co musi się przyczynić do jej wewnętrznego osłabienia, a ono tem samem musi się odbić i na zewnątrz. W szeregach wojska także rozpoczęło się politykowanie, a to w Rosyi nieczego dobrego nie wróży.

Ostatni zabytek średniowiecznego absolutyzmu w Europie, jak widzimy z manifestu wielkiego księcia Michała Aleksandrowicza, który obiecuje przyjąć godność cara, ale tylko „z woli ludu“, ma się stać najliberalniejszym państwem, co jest dowodem, że z ostateczności popada się w ostateczność. Ale i ten manifest nie może być brany zbyt seryo, zwłaszcza, że następna proklamacya rewolucjonistów wyraźnie powiada, iż nie życzy sobie nikogo z domu Romanowów, którzy mogą szukać szczęścia gdzieindziej. Poza tem jeden stanowczo żąda pokój, inni oświadczają się za wojnę, co dowodzi, że w imperyum rosyjskiem, dzięki pomocy sojuszników, nastąpiło zupełne „bezołowie“. Anglia stara się je wyzyskać na swą korzyść i znów wysłała nad Nową lorda Milnera, nie wiadomo przecież, czy on tam co wskóra, zwłaszcza, że wojna dała się już wszystkim porządnie we znaki i, że, chcąc wewnątrz zaprowadzić nowe porządki, musi się mieć wolne ręce.

Jednem słowem zamęt i chaos, a sytuacja tak zagadkowa, iż, gdyby mnie kto zapytał o zdanie, odpowiedziałbym chyba słowami sekretarza stanu w Ameryce, Lansinga, który interviewując go dziennikarzem rzekł:

— Moi panowie! Sytuacja jest zbyt poważna, bym mógł coś powiedzieć!...

Równie trafne wydaje mi się określenie krakowskiego polityka, pisującego artykuły wstępne w jednym z dzienników, który znów mówi, że dziś „umysł każdego najezony jest pytańkami...“

Wobec tego i ja swego decydującego zdania nie wypowialam, ale zalecam wszystkim świętą cierpliwość, a z pewnością doczekamy się rozwiązania. Jakie ono będzie, tego także nie powiem, gdyż sam nie wiem, myślę przecież, że, właśnie dzięki owej rosyjskiej rewolucji, szause nasze grubo się poprawiły, a akcyje mocarstw centralnych idą w górę, tak, jak znów okręty koalicji idą na dół. Francya na przykład z taką energią zabrała się do wojny na morzu, iż zatapia nawet swe własne łodzie podwodne, jak to miało niedawno miejsce w zatoce marsylskiej. Zaostrenie walka na morzu jest przyczyną, że ślądzie i sardynki żyją w ciągłej obawie o swój los, skutkiem czego ich progenitura jest nikła i charłacza. Onegdaj zdarzyło mi się spotkać z okazem, w rodzaju tak zwanych „Ostsee“ (cena tylko korona i dwadzieścia halerzy!), nie różniącym się ani wzrostem, ani tuszą, od dawnych „moskali“!

W sprawie pokojowej, o ile to dotyczy Rosyi, miarodainem powinno być odezwanie się w Dumie w dniu 28. lutego, więc jeszcze przed wybuchem rewolucji, ówczesnego posła, a dzisiejszego ministra sprawiedliwości, Kiereńskiego, który, między innemi, wskazując na niebezpieczeństwo, płynące z przewlekaniem wojny w nieskończoność, powiedział:

— Twierdzą, że proklamowanie bezgranicznych tendencji zdobywczych nie znajdzie wcale poparcia w narodzie. Masy, które kochają tak życie jak i wy, przelewają bezowocnie krew na granicach wschodniej i zachodniej. Pragną i one swe słowo dorzucić, gdy o los ich chodzi. Dajcie nam mówić o tem, co nas boli, co masy ludowe porusza i co im ból przynosi, a nie występujcie z oracyjkami, mającemi na celu podział skóry na żywym jeszcze niedźwiedziu...

Zakończył zaś słowami:

— Rosya sama znajdzie ścieżkę honorowego wyjścia z położenia, wytworzonego przez wojnę!

Słowa te odbijają się w masach tysiącnie echem i zyskują sobie poklask mas, które stają się w odradzającej się Rosyi czynnikiem władczyim i decydującym. Masy te wołają zaś gromko o pokój. Może więc niedaleką jest chwila, gdy życzenie tych mas stanie się dla nowego rządu wskazówką, a nawet rozkazem.

Oby to stało się rzeczywiście jak najprędzej!... Wówczas spełni się może i najświeższa przepowiednia „pokojowa“ francuskiego księdza Coube, znanego w parvskich kołach kaznodziei i spirytysty. W kole ludzi poważnych i doświadczonych, doskonale wtajemniczonych we wszelkie *arcana* okultyzmu i stolików ruchomych, zapytywał on pewnego razu ducha, kiedy będzie koniec obecnej wojny, na co otrzymał stanowczą odpowiedź, że między pierwszym lipca a pierwszym sierpnia (roku?...), a to na skutek decydującego zwycięstwa mocarstw sprzymierzonych. Dodał zaś, że „ludzie złośliwi widzą w spirytyzmie manifestację dyabelską, w rzeczy samej jednak idzie tutaj o wyciągnięcie na światło dzienne rzeczy prawdziwie dobrych.“